

Bóg wybrał mi chodnik

Szymon Babuchowski [16/2016](#)

Pomagał dzieciom i bezdomnym, a po latach sam stał się bezdomnym. Historia Jacka Pikuły to gotowy scenariusz filmu, pełnego nieoczekiwanych zwrotów akcji. Tyle że wydarzyła się naprawdę. Jacka Pikułę kojarzyli w Katowicach prawie wszyscy. Dziś jego domem jest namiot stawiany na górskich łąkach

W Katowicach kojarzyli go prawie wszyscy. Przez całe lata dziewięćdziesiąte stał na rogu ulic Staromiejskiej i Dyrekcyjnej, zbierając fundusze na pomoc podopiecznym: bezdomnym z katowickiego dworca i dzieciom z ubogich rodzin, dla których założył ośrodek „Skrawek Nieba”. Potem nagle zniknął z pola widzenia. Mało kto wiedział, że przez finansowe tarapaty sam znalazł się na ulicy. Depresja doprowadziła go niemal do samobójstwa, a drzwi rodzinnego domu zamknęły się przed nim. W końcu jednak podniósł się, znaleziony – jak sam mówi – przez miłosierdzie. Od kilku lat nosi swój dom w plecaku, z którym wędruje po górach, po drodze chwytając się dorywczo różnych prac. Na podarowanym laptopie spisuje swoje przeżycia. Pierwsza partia zapisków Jacka Pikuły złożyła się na książkę „Skrawek Nieba. Poradnik nieporadny”, która właśnie się ukazała.

Głodny, ale ogolony Nie zmienił się zbyt wiele. Fakt, przybyło trochę siwych włosów i twarz poorly zmarszczyła, ale nie wygląda na człowieka, który sypiał pod mostem albo w ciasnej wnęce krakowskiego Barbakanu. – Mogłem nie jeść przez tydzień, ale zawsze dbałem o to, żeby być ogolony – uśmiecha się Jacek. – Kupiłem porządną kurtkę i noszę ją już siedem lat, plecak też mam dobry, markowy.

Nie chce, żeby się nad nim litowano. Nie czuje się nieszczęśliwy ani biedny. Ma tylko żal do urzędników, że tak bezdusznie obeszlą się z miejscem, w które on włożył całe swoje serce. Że kiedy zamykano „Skrawek Nieba”, policzyli łyżki i widelce, a nikt nie zapytał o dzieci. To prawda, że zalegał ZUS-owi ze składkami. Nazbierało się tego, wraz z odsetkami, 180 tys. zł. Może dziś, kiedy organizacje pożytku publicznego korzystają z jednoprocentowych odpisów, byłoby łatwiej uregulować długi. Ale wtedy nie miał z czego zapłacić, bo musiałby w tym celu przerwać pracę z dziećmi. Pierwszy, świeżo wyremontowany dom miał przecież zostać zburzony z powodu budowy ulicy Dudy-Gracza, a ten, który placówka dostała w zamian, nie spełniał warunków do pracy z dziećmi; wymagał także generalnego remontu. – Problemy pojawiły się, kiedy już działaliśmy równolegle w obu miejscach – opowiada. – Pierwsze ciągle działało, a drugie przygotowywaliśmy do remontu. Koszty utrzymania istotnie wzrosły, poszybowyły pod czarne chmury.

„Dlaczego pan nie zostawił dzieci na czas remontu?” – słyszał nieraz. „A to z powodu moich zielonych skarpetek” – odpowiadał. Nedorzeczne pytanie, to i niedorzeczna odpowiedź. Nie zgadza się z opiniami, że „dzieci przeżyłyby bez wyjść na lody i do kina”, bo spływają one prace ośrodka, w którym pracowali psychologowie i socjoterapeuci. Dzieci rozwijały umiejętności i uczyły się działania na rzecz innych. Nie rozumie powodów, jakie kierowały wówczas władzami Katowic. Przecież tyle robił dla tego miasta, a tu nagle został sam, bez żadnej pomocy!

Od kosza do kosza Sięgnięcie po linkę, która prawie go zabiła, było olbrzymim głupstwem – przyznaje dzisiaj. Depresja w tamtym czasie dosłownie przewróciła

go na podłogę. „Leżałem na niej bardzo długo. Po całym dniu wstałem tylko po to, żeby się ogolić i znowu się położyć Nie miałem sił na więcej” – wspomina w swojej książce.

Mimo wszystko starał się jeszcze uporządkować sprawy ośrodka, wypłacić należne pensje pracownikom. – Nie uregulowałem, niestety, wynajęcia biura i opłat za prowadzenie księgowości. Bardzo tego żałuję – wyznaje po latach Pikuła. Zostawił dom wyremontowany w 80 proc., znacznie przekraczający swoją wartością dług. Oddał wszystkie nagrody państwowe i odznakę Miasta Katowice. Wychodząc po raz ostatni ze „Skrawka”, podlał kwiatki.

Bezdomność nie była dla niego czymś nowym. Wychowanek domu dziecka, który doświadczył na własnej skórze przemocy domowej, w młodości tułał się po Polsce, mając się różnych zawodów. Wreszcie jesienią 1989 r. zatrzymał się w Mikołowie, w jednym z domów zbiorowych. To stąd trafił na katowicki dworzec. Jeszcze jako bezdomny organizował pierwszą wigilię dla osób chowających się po cuchnących zakamarkach.

Teraz ten stan powrócił. Tyle że jemu nikt nie pomógł, kiedy nocował pod mostem albo w zimnych, betonowych ścianach dworcowego holu. Chodził od kosza do kosza w poszukiwaniu jedzenia, ale nigdy nie zaczepiał ludzi, prosząc o pieniądze. Ba, sam bywał o nie proszony przez innych bezdomnych, bo jego staranny wygląd często ich mylił. Mył się i robił pranie w McDonaldach, gdzie wstępował także na darmową kawę, którą dostawał dzięki uzbieranym promocyjnym naklejkom.

Ale wielu zdarzeń z tamtego okresu nie pamięta. – „Obudziłem się” przed rokiem 2010, jakieś dwa i pół roku po wyjściu z Katowic – mówi.

Pomsta należy do Boga Przełomowym momentem było spotkanie z krakowskimi siostrami miłosierdzia. Z niedożywienia stracił przytomność i upadł na chodnik niedaleko domu zgromadzenia. Podnieśli go przechodzący bezdomni i wnieśli do pobliskiej apteki, skąd trafił do jadalni prowadzonej przez siostrę Krystynę Kamysz.

Od tego czasu był tam codziennym gościem. Po kilku dniach przygotowywał już kanapki dla takich jak on, z rozsypanym życiem. Wreszcie, wyposażony w bilet i czystą odzież, jedzie do pracy sezonowej przy jabłkach. Po powrocie otrzymuje jeszcze śpiwór, plecak i podstawowe rzeczy, które pozwolą mu zamieszkać w górach. Dostaje też używany, ale sprawny laptop, dzięki któremu może zacząć spisywanie wspomnień.

O zgromadzeniuisiostr miłosierdzia pisze w swojej książce z wdzięcznością: „Wiem, że do dzisiejszego dnia ktoś o mnie myśli, martwi się, powierza Bożej Opatrzności. Więc dziękuję dzisiaj Bogu za wybranie chodnika, na który upadłem”.

Są też jednak tacy, którym dedykuje gorzkie słowa. Najbardziej dostaje się urzędnikom, którzy, jak twierdzi, nie mówili prawdy o nim i o „Skrawku Nieba”.

O jednym z nich napisze nawet: „Chętnie dałbym mu w twarz, ale myślę, że życie robi to za mnie”. Nie szuka jednak zemsty. – Biblia mówi, że pomsta należy do Boga – podkreśla. – W tych słowach nie chodzi o odwet, ale o to, żeby wszystko zostawić Bogu, zawierzyć Mu. Wtedy człowiekowi jest lżej.

Domek na skraju lasu Wędrując po górach, nieraz namacalnie odczuwał Boże prowadzenie: – Za posprzątanie schroniska dostawałem cały plecak konserw, innym razem ktoś w podzięce za granie zostawił mi stół zawalony jedzeniem. Bywało też, że idąc drogą, co kilkadziesiąt metrów znajdowałem coś do jedzenia, a kiedy brakowało mi tylko chleba, na drodze pojawiało się pięć złotych. Czasem pytają mnie o plany. Nie mam planów. Mam marzenie: o drewnianym domku na skraju lasu, ze śnieżnobiałą firanką w oknie. Ale swoje piękne chwile już przeżyłem. Dane

mi było przysiąc z kanapką i obserwować jelenie albo kreta, który wychodzi ze swojej nory. Nagrałem płytę, napisałem książkę, nie mając domu. Nie czuję się bezdomnym w pełnym tego słowa znaczeniu. Mam dach nad głową – jest nim namiot stawiany na górskich łąkach.

Czego żałuje? Tego, co musieli przeżyć jego bliscy. – Brakuje mi kontaktu z najbliższą osobą na świecie – mówi, dyskretnie ocierając łzy. To przede wszystkim dla tej osoby napisał swoją książkę. Prostym, wolnym od zbędnych upiększeń językiem opowiedział w niej swoje życie. Jest w tej historii sporo bólu człowieka, którego potraktowano niesprawiedliwie. Ale jest w niej też, mimo wszystko, wiele nadziei. We wstępie do swojej książki Jacek zanotował: „Wciąż wierzę, że jest gdzieś dla mnie miejsce. Nie jest łatwo znajdować w sobie siłę i moc. Jednak jest możliwe stanąć na nogi. Próbować stanąć i iść. To teraz mój cel”.

Tagi:

[GOŚĆ NIEDZIELNY](#),